

Czy w Hollywood brakuje aktorów?

13 czerwca 2009

Amerykańska fabryka snów od dawna zapewnia nam stały przypływ nowych aktorskich twarzy, czy to w kolejnych produkcjach z dużego ekranu, czy w tych produkowanych na potrzeby telewizji, w filmach TV i serialach. Śmiało stwierdzić można, że ta gałąź rozrywki, ze względu na zainteresowanie, jakim się cieszy i dochody, jakie generuje, jeszcze długo będzie dostarczać nam kolejnych idoli. Skąd więc pytanie postawione w tytule tych rozważań? Skłoniło mnie do jego postawienia swego rodzaju niedbalstwo, jakim cechuje się przemysł filmowy w doborze aktorów do ról drugoplanowych i nie tylko. Chodzi mi konkretnie o zatrudnianie jednego aktora do różnych ról w obrębie tej samej serii filmowej lub filmów mocno ze sobą korespondujących. Nie mam tu na myśli celowych zabiegów Quentina Tarantino czy M. Night Shyamalana, którzy pojawiają się regularnie w swoich kolejnych filmach, w mniej lub bardziej znaczących rolach. Nie chodzi mi także o przykład Eddiego Murphy, który, dzięki specom od charakteryzacji, potrafi zagrać w ramach jednej produkcji kilka postaci, mocno upraszczając proces przygotowania obsady.

Uważny widz z wprawnym okiem, który nie zadowala się jednorazowym obcowaniem z ulubionym filmem lub całą serią, przy którymś z kolei seansie danego obrazu może zauważyć, że na drugim planie, wśród niewiele znaczących bohaterów pojawiają się twarze aktorów (statystów), którzy w innej scenie lub, co częstsze, w innej części cyklu wcielali się w zupełnie inną postać. Nie jest to oczywiście regułą, ale zdarza się nad wyraz często i dowodzi niejako, że reżyserzy niekiedy skupiając się przede wszystkim na głównych bohaterach, mniejszą wagę przywiązują do detali stanowiących tło filmu. Tym sposobem aktor, który w jednej części filmowej serii był czarnym charakterem, w kolejnej może być już

policjantem, a „pan do bicia” z zaprzyjaźnionego baru, część później będzie nim nadal, ale już w innym lokalu i innym mieście, zaś postać, która w tragicznych okolicznościach pożegnała się z żywotem, w scenach rozgrywających się po tym zdarzeniu bawi się w najlepsze wśród żywych.

Za przykład niech posłużą mi postaci z tak popularnych serii jak: „Przyjaciele”, „Joey”, „Władca Pierścieni”, „Najlepsi z Najlepszych” oraz „Zabójcza Broń”.

Niezapomniana „mama Stiflera” z „American Pie” – Jennifer Coolidge miała również swój epizod (jakże udany!) w serialu „Przyjaciele”. Wcieliła się tam w postać długo niewidzianej przyjaciółki Monici (Courtney Cox) i Phoebe (Lisa Kudrow) – Amandy, goszcząc na ekranie jedynie kilka minut. Tych kilka minut jednak sprawia, że już rola Bobbi – filmowej agentki Joey’a z serialu pod tym samym tytułem, tak mocno przecież związanym z Przyjaciółmi staje się mniej wiarygodna. No bo jak Amanda może być zarazem Bobbi?

Identyczną sytuację mamy w przypadku Adama Goldberga, który w kilku odcinkach Przyjaciół grał Eddiego, współlokatora Chandlera (Matthew Perry). Pełną komizmu i energii postać powtórzył później także w Joey’u tyle, że już nie jako Eddie lecz jako Jimmy – dawna i zarazem obecna miłość siostry głównego bohatera.

We „Władcy Pierścieni” Petera Jacksona w rolę Deagola, pierwszego znalazcy pierścienia, czyli bohatera, któremu nie było dane żyć zbyt długo, wcielił się nieznany szerszej publiczności Thomas Robins. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że ten sam Robins w scenie rozgrywającej się kilkadziesiąt lat po śmierci Deagola, statystuje jako gość na przyjęciu urodzinowym Bilba, otwierającym całą opowieść. Dobrze wprawione oko dojrzy go także w jeszcze jednej scenie jacksonowskiej trylogii, ale już w innym punkcie na mapie Śródziemia.

W trzech z czterech części serii „Najlepsi z Najlepszych”, Kane Hodder – znany przede wszystkim z przygotowywania scen kaskaderskich w szeregu filmów akcji, a także z „roli” Jasona (tego pana w masce) w kilku odsłonach Piątku 13-tego, występuje jako zbir – „worek treningowy” dla Phillipa Rhee (część 1), Erica Robertsa (część 2) i znów tego pierwszego (3), oczywiście w różnych okolicznościach, różnym czasie i przede wszystkim – stanach (na mapie).

Rekordzistą jednak bez wątpienia jest i długo pozostanie odtwórca blisko osiemdziesięciu ról filmowych (zwykle drugoplanowych) – Paul Tuerpe, którego znajdziemy w obsadzie wszystkich czterech części (!) „Zabójczej Broni”. I nie byłoby to nic nadzwyczajnego, gdy nie fakt, że za każdym razem jest to inna postać. W trzech pierwszych częściach serii, jako czarny charakter, regularnie kończy swój żywot lub przynajmniej dostaje porządnego łupnia w starciu z Melem Gibsonem, Dannym Gloverem i Rene Russo, żeby ostatecznie w czwartej części pojawić się jako... pilot policyjnego helikoptera, bądź co bądź regularny „glina”. Widocznie najpierw zmartwychwstał, a później przeszedł gruntowną wewnętrzną przemianę.

Można by powiedzieć, że się czepiam, że dotyczy to zwykle postaci epizodycznych, ale jeśli reżyserzy chcą tworzyć obraz prezentujący świat quasirzeczywisty, w każdym aspekcie skonstruowany na podobieństwo realnego, powinni się takich wpadek wystrzegać i aktorów drugoplanowych dobierać z równą starannością jak tych, którzy w obsadzie zajmują pierwsze miejsce. Chętnych do grania tak zwanych „ogonów” na pewno nie zabraknie, a my nie będziemy się musieli zastanawiać czy aktor, który przed chwilą mignął nam w tle, to nie ten sam, który stracił życie już w poprzedniej części.

Autor: P.

Źródła: [Akademiec i Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

[Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 2.5 Polska](#)